

Kamczatka – mało znana
krajina zachwycająca
piękniem swojej przyrody

Podróż nie powinna być ucieczką

*Oderwijmy się od wirtualnej rzeczywistości
i odkrywajmy okruchy świata na nowo.*

Tylko dla siebie. Za to naprawdę

JACEK PAŁKIEWICZ

Afryka nie jest już tym samym kontynentem, o którym czytało się z zapartym tchem przy świecy. Nie jest to już nawet romantyczna Afryka Kapuścińskiego. Ostatnie dekady przyniosły radykalne zmiany porewolucyjne, a uzyskanie niepodległości przez kraje, które setki lat były koloniami, znacznie wpłynęło na obowiązujące tam normy społeczne. Dziś wyjazd do krajów Afryki Środkowej (nie mam na myśli turystycznych kurortów Egiptu czy Maroka) jest ryzykowny, zadziałała bowiem reguła wahań – kiedyś ciemieni, dziś odgrywiają się na „białasach”. Zdarza się, że mieszkańiec

Europy czy Amerykanin może zostać opluty przez dzieci albo zaszytyletowany przez... nieco starsze dzieci. I nie dla rabunku nawet – a dlatego, że jest biały. Rasizm nie ma koloru skóry.

Biegun zimna dane mi było odwiedzić w roku 1989; to najzimniejsze na świecie miejsce, gdzie na stałe żyją ludzie. W ciągu miesiąca przebyłem 1300 kilometrów na zaprzęgach reniferowych z Jakucka do Omjakonu, wioski oddalonej od najbliższej siedziby ludzkiej o 600 kilometrów, położonej pośród wiecznych zmarzlin Syberii. Po

co jadę zamrzniętymi rzekami w miejsce, gdzie zanotowano minus 72 stopnie? Po co ryzykuję w miejscu, gdzie nawet drzewa niechętnie rosną? Czy tylko dla reportażu? Nie. To w takich sytuacjach człowiek sprawdza się bez ochronnego parasola, bez prawa do wycofania – i bez prawa do błędu.

Cienka linia dzieli podczas podróży strefę komfortu od realnego zagrożenia. I wbrew pozorom bardzo łatwo przekroczyć tę barierę bezpieczeństwa nawet w kurortach i miejscach turystycznych. Warto więc przed podróżą, wczasami i wyprawą pozwo-

lić sobie na chwilę refleksji i zadanie sobie pytania: A co, jeśli...? Zwłaszcza że dziś zagrożeniem są nie tylko wypadki losowe, ale zorganizowane grupy terrorystyczne. Nie opuszczajmy bezpiecznych stref, nie poruszajmy się bez dokumentów czy z dużą ilością gotówki. I szanujmy lokalne zwyczaje – o czym za chwilę.

Dajakowie z Borneo, budzący grozę wojownicy z parangami, nie ścinają już głów. Ale o ile bardziej w otchłan przeszłości odchodzą stare, krwawe obyczaje, o tyle coraz bezczelniej turystyczne agencje wykorzystują legendy do napędzania turystyki. Nie warto bezrefleksyjnie łapać się na lep odwiedzania „dzikich” i „niebezpiecznych” terenów. Wszystko to tylko chwyt reklamowy.

Eden – któż nie chciałby się dostać do Erazu? Marketing turystyczny pokazuje zwykle świat jako jeden wielki eden, do którego należy pojechać lub polecieć; płać się w luksusie pod palmami na plaży z białym piaskiem, w domku z trzciny... A że piasek sztuczny, woda podgrzewana a palma przesadzona trzeci raz w tym sezonie? Cóż z tego? Ano to, że oferta turystyczna zniekształca postrzeganie świata z jego tysiącami nierozwiązanych problemów, z biedą Ameryki Południowej, głodem Afryki, wojnami religijnymi i krwawymi juntami. A pomiędzy tym my – w turystycznym edenie. Czy tego właśnie chcemy?

Fanatyzm rośnie w siłę w XXI w. Wszelkie skrajności, na czele z fundamentalizmami religijnymi, stanowią zagrożenie dla turystyki. To oczywiste. Ale z drugiej strony czai się fanatyczne uwielbienie dla wzrostu gospodarczego, dla masowej turystyki, niezależnie od efektów. A to owa masowość niszczy świat. Zadeptywane są zabytki, doliny, góry, rozsypują się świątynie i kamienne ścieżki. Nadaliśmy turystyce rangę niemal fanatycznego kultu – i w jego imię zadeptujemy cuda natury.

Gotowce mnie mierzą. Biura podróży nie pokazują świata takim, jaki jest. Wiozą Was do specjalnych punktów, w których prezentują okruczności rzeczywistości dostosowane do legendy, jaką chcą tworzyć. To szablony, gotowce, matryce w drukowane masowemu klientowi. Można być majętnym i podróżować całe życie – a nie poznać świata, bo pozostanie się w cywilizacyjnej bańce. Bezpiecznej, wygodnej i... fałszywej.

Higiena to żelazny temat moich szkoleń survivalowych i ważny element przygotowań do wypraw. Nie zapominajmy o niej zwłaszcza w odmiennych strefach kli-



Jacek Pałkiewicz dotarł do najdalszych i najciekawszych zakątków naszej planety. Na zdjęciu: wyprawa na biegun zimna w 1989 r.

matycznych; od prostej wycieczki po amazońską czy azjatycką wyprawę. Mycie rąk, odkażanie, używanie rękawic, kąpiel, gdy to możliwe, i niespożywanie podejrzanego pożywienia na ulicy czy w przydrożnych lokalach, często ratuje nas od zagrożeń najcięższego kalibru. Ratuje życie, a niewiele kosztuje. Tyle, co rozsądek.

Indianie, których spotkałem podczas swoich wypraw do Brazylii czy Peru, przypominają mi górali z zakopiańskich Krupówek. Kiedy przed czterdziestu laty dotarłem do wolnożyjących Indian Yanomami, obmacywali mnie jak ufoludka. Siedzieli nago przed domami i wdmuchiwali sobie halucynogenne proszki do nosów. Dziś to już zwykle komercyjni przebiegaczy, którzy zarabiają tańcząc na klepisku z pióropuszem na głowie, naszyjnikami na szyi i przepaską z trzciny obwiązaną wokół bioder. Pod spodem jednak widać bieliznę typu adidas. I tańczą jakoś za szybko – bo, jak się okazuje, spieszą się na telewizyjną relację z meczu. Owszem, gdzieś w ostępach selwy, na pograniczu Brazylii i Wenezueli, podobno mamy szansę spotkać jeszcze pojedyncze, małe, izolowane plemiona. Ale nie podczas wycieczki z biurem podróży.

Jazda terenowymi samochodami stała się ostatnimi czasy modną. Przemieszczanie się nissanami, toyotami czy landroverami stanowi alternatywny sposób podróżowania. Nic w tym złego, póki nie rozjeżdża się rolnikom pól obsianych oziminą. Czy jednak jedziemy własną terenówką, czy w czymś

towarzystwie, proponuję obierać ciekawe cele wypraw, aby satysfakcja z jazdy nie stanowiła jedynej pamiątki. Rozwój wypraw off-roadowych łączonych ze zwiedzaniem i przeprawami, z poznawaniem trudno dostępnych zakątków, staje się faktem. Ale nie zapominajmy, że i taką wyprawę trzeba również szczegółowo zaplanować i przewidzieć trudności – przecież nawet czołg nie daje pełni bezpieczeństwa, jeśli brakuje rozsądku. Mój młody przyjaciel, Jacek „Hałas” Hałasiński – od lat zabiera ludzi landroverem do Transylwanii, na Ukrainę, wytycza cele gruzińskie i albańskie. I godzinami potrafi opowiadać o pułapkach i trudnościach. Ale zawsze przywozi uczestników w całości. Zanim nabierzemy wprawę, lepiej podróżować z kimś takim.

Kamczatka to kraina zapierająca dech, niezwykła w swej monumentalnej przestrzeni i nieznanych w Europie kolorach. Góry, wulkany, Zatoka Awaczyńska i usytuowany u jej brzegów zastygły w ubiegłym wieku Pietropawłowsk Kamczacki, dolina gejzerów i kraina opływająca lososiami i kawiozem w cenie masła... A jednak stanowi zakątek rzadko odwiedzany przez turystów z Europy Zachodniej, nie mówiąc już o Polakach. I nie chodzi tu o wysokie ceny biletów – nie taniej leci się na Malediwy czy Kanary. Wbrew trendom politycznym mogą z całego serca polecić odwiedzenie tych ludzi z otwartą duszą, to niezwykle miejsce, gdzie przed stu pięćdziesięciu laty nasz rodak, Benedykt Dybowski, zakładał pierwsze szpitale i uczył ludzi podstaw higieny. ▶



Starożytne miasto Pagan w Birmie – kolejny cud świata, który niebawem zostanie zdeptany przez turystów

Latanie stanowi dziś tak naturalny sposób przemieszczania się, że uznajemy je za cudowny sposób podróży. A mnie, który jem śniadanie w Warszawie – a obiad już w Rio de Janeiro, nachodzi refleksja, że zapominamy o stratach. Nie przeżywamy podróży, jej trudów, wyzwań, nie chłonimy kolejnych etapów zmian czasu i granic kulturowych, tylko hop – i już jesteśmy na miejscu. Dlatego namawiam na spokojną, długą podróż statkiem dookoła świata.

Mogadiszu to jeden z punktów, do którego nie zapraszam. Są na świecie miejsca aturystyczne, pełne dzikiej przemocy, bezprawia gorszego niż na Dzikim Zachodzie w czasach Wayatta Earpa, i z całą świadomością odradzam korzystanie ze specjalnych ofert firm, które proponują wyjazdy w miejsca objęte wojnami i zamieszkami jako szczególną atrakcję. Na przykład ze stolicy Somalii, Mogadiszu, niezależnie od ilości ochroniarzy czasem można nie wrócić. Zginąć w strzelaninach rozgrywającymi się pomiędzy prywatnymi armiami lokalnych kacyków albo zostać zakładnikiem bądź niewolnikiem bez szans na powrót do swojego świata. A ta alternatywa może być gorsza od nagłej śmierci. Bywałem tam jako korespondent włoskiej „Corriere della sera”. Wiem, co mówię. Czy takie ryzyko warte jest chwili emocji?



Wojownik dzikiego plemienia Dajaków z Borneo

Noc w ruinach zamku to propozycja dla tych, którzy, zwabieni książkami, filmami i gramami komputerowymi, nagle zapragną wziąć udział w dalekiej wyprawie. Takie weekendowe działania survivalowe prowadzi mój przyjaciel i asystent w wyprawach amazońskich i syberyjskich, pisarz Krzysztof Petek. Niech najpierw zapaleńcy, na próbę, spędzą noc w lesie, w szałasie, w podziemiach zrujnowanego zamku lub w hamaku na bagnach. Najlepiej właśnie z doświadczonym instruktorem survivalu. Po takim weekendzie niech zdecydują, czy naprawdę chcą jechać na taką wyprawę. Jeśli tak – zapraszam.

Odkrycia dziś? Wielu rozkłada ręce. Nie wiele przecież pozostało do odnalezienia miejsc, łądów, a głębiny oceanów czy jaskinie pozostają w gestii specjalistów. Ale podobne wyczyny nie muszą oznaczać odkrywania czegoś od zera, dla świata. Jeśli spojrzymy na taki wyczyn jak na odkrywanie czegoś dla siebie – jakie ma znaczenie, czy było tam już stu ludzi przede mną? W szalonym świecie, który zdominowały media społecznościowe, w którym jeśli nie pokażę na fotografii, co jadłem rano, to wieczorem zostanę już uznany za zmarłego – warto czasem zatrzymać się, odciąć od wirtualnej rzeczywistości i odkryć okrucy świata na nowo. Tylko dla siebie. Za to naprawdę.

Potomkowie syberyjskich zesłańców zostali odnalezieni przez moją wyprawę w roku 2013. W Irkucku i na Kamczatce, w 150-lecie powstania styczniowego, szukaliśmy wnuków tych, których los rzucił na dalekie łądy. Dotarli tam w kajdanach albo wyjechali dobrowolnie, „za chlebem”. Rozmowa z wnuczką powstańca albo majątnym antykwariuszem, prawnikiem ówczesnych osadników, to inny wymiar odkrywania świata – wynajdywanie i uwiecznianie odłamków zbitego lustra przeszłości. W dobie internetu i milionów informacji umieszczonych na serwerach, wciąż jest miejsce na

spotkanie człowieka z człowiekiem, podanie ręki i opowieści przy stole. Jeśli zabraknie prawdziwych podróżników, eksploratorów, odkrywców miejsc i ludzkich dusz, turystyka stanie się li tylko martwą gałęzią przemysłu.

Rosja to w ogóle niedoceniany kierunek wypraw. Coraz wyższy mur negatywnej propagandy oddziela nas od tego różnokolorowego, multikulturowego świata otwartych ludzi. Zapominamy o bratniej, słowiańskiej duszy, postrzegamy Rosjan przez pryzmat słów kilku ich polityków, tak jakby nasi przywódcy stanowili realną reprezentację całej naszej kultury i postaw. Warto odrzucić ciemną pelerynę uprzedzeń i wyruszyć do tego wielkiego, niezwykłego kraju na długie rozmowy przy herbacie. Ale kto dziś jeszcze mówi u nas po rosyjsku?

Szacunek, przyjaciele, to ważny element wypraw małych i dużych. Jeśli odwiedzamy inne kręgi kulturowe, warto traktować je z szacunkiem, nawet jeśli są dalekie od naszych postaw czy przekonań. Albo tam nie jechać. Gdy ktoś bowiem wchodzi do mojego domu, chcę, aby uszanował jego reguły. Nie musiał przecież przychodzić. Stąd moje otwarte pretensje do wyznawców islamu, szarogęszących się w Europie. Przychodzą – i żądają przereklamowania ustrojowego, prawnego, żądają specjalnych praw i odgrają się albo otwarcie strzelają do tych, którzy nie zgadzają się na zmiany. Przemebłowują nie swoje mieszkanie. Takim zachowaniom głośno mówię: NIE! Ale kiedy jadę do krajów arabskich, nie żądam zburzenia meczetu i ustawienia przydrożnych krzyży. Wyjeżdżając, pamiętajmy o szacunku. I niech to działa w obie strony.

Takla Makan to północnochińska pustynia, którą nawet Marco Polo wolał okrążyć, niż zagłębiać się w najbardziej suche wydmy świata. Już wówczas, przed sześciuset laty, wiadomo było, że pochłonęła całe miasta – stąd jej nazwa: Taklimakan, co w języku Ujgurów oznacza „miejsce luków”, pozostałości po bramach miast. Ale legenda mówi, że nazwa ta oznacza „Wejdz, a nie wyjdiesz” – i pobudza wyobraźnię. Ja jednak rzuciłem wyzwanie tej potężnej piachu w Kotlinie Kaszgarskiej, otoczonej najwyższymi łańcuchami górskimi świata. Przeszedłem obok znalezionych w pobliżu pustyni cmentarzy białych ludzi przykrytych łodziami – sprzed 4000 lat. Widziałem krwistoczerwone zachody słońca. Doświadczyłem na własnej skórze, jak to jest, gdy w dzień temperatura sięga plus pięćdziesięciu stopni a nocą spada do minus dwudziestu. A wszystko po to, by po raz kolejny udowodnić sobie, że wszystkie przeciwności

są do pokonania. Po takich przeprawach trudności finansowe, problemy domowe i kłopoty w pracy okazują się tylko drobnymi wyzwaniem. To kwestia skali.



Są na świecie miejsca aturystyczne, pełne dzikiej przemocy. Jednym z nich jest Mogadiszu, stolica Somalii

Ucieczka od cywilizacji, o której marzą moi czytelnicy, zwykle okazuje się pozorna. Ludzie „uciekają”, ale tak, aby w zasięgu był prąd, dostęp do internetu i sieć komórkowa. Aby w razie potrzeby można było liczyć na pogotowie, policję, a nawet taksówkę. I udają bohaterów, mając za plecami całe cywilizacyjne zaplecze. Po co samego siebie okłamywać? Prawdziwa ucieczka to znój, dyskomfort i ryzyko. Świadomość osamotnienia i braku wsparcia – cokolwiek by się zdarzyło. Dopiero wtedy poznajemy granice swoich zdolności adaptacyjnych. I wracamy – już inni.

Wolność – jakież to cudowny sztandar! Okazuje się jednak, że każdy nosi własny. Mamy indywidualne, osobiste poczucie wolności. I warto zdawać sobie z tego sprawę. Gdy podróżujemy, przykładamy własną miarę do reguł, którymi tradycyjnie rządzą się inne narody, grupy etniczne, cywilizacje. Warto spojrzeć głębiej. Kto zrzeka się wolności osobistej na rzecz plemiennego bezpieczeństwa? Kto indywidualizuje życie rodzinne i tylko jej bezpieczeństwo go obchodzi? U Korowajów na Nowej Gwinei, budujących domy dwadzieścia metrów nad ziemią czy Indian Yanomami w Brazylii nie było problemu z oddaniem osobistej wolności na rzecz wspólnoty. Yanomami w ogóle nie rozumieli poczucia własności – brali zawsze, co chcieli. Muszą się jednak podporządkować zarządzeniom swojego wodza, działać kolektywnie. A jednak czują się wolni, póki nie zniewoli ich cywilizacja zachodu. To tak samo, jak z nami. Stąd mój postulat – nie nieśmy na siłę naszej wolności tam, gdzie oznacza ona coś zupełnie innego.

Yeti nie znalazłem. Czy szukałem? Nie. Bo przysłowiowe poszukiwanie yeti to kręcenie się bez końca i bez sensu. Miotać się bez celu, marnowanie czasu i energii. Bardzo wielu turystów, przemierzających tysiące kilometrów, w zasadzie szuka yeti. Biegną, pędzą, lecą, uciekają, i wciąż im za mało. Bo podróżowanie, jeśli jest ucieczką od własnych problemów czy nieudanych związków, nie przynosi satysfakcji i nauki, staje się tylko narkotykiem. Nie tędy droga.

Zakazy i reguły, tabu i sposoby zachowań, gesty i słowa – to zestaw kodów indywidualnych dla każdej cywilizacji, niezwykle odmienny w różnych kulturach. Przed podróżą usiądź przy komputerze lub w fotelu z książką, choćby z moją „Sztuką podróżowania”, i pytaj o cywilizacyjne kody przed każdą podróżą. Od drobiazgów, przez ubrania, aż po zasadnicze: prawne i zwyczajowe. Dla własnego bezpieczeństwa. Bo jeden gest, zdawałoby się niewinny, na drugim krańcu świata może pozbawić Cię życia.

Źródła rzek szukają nie tylko romantycy. Ale warto mieć świadomość, że to wyprawy do początku, niemal filozoficzna pogoń za przaprzyczyną. Każdy z nas może szukać własnych źródeł, nawet źródła strumyka, który płynie za domem. Taka wyprawa przynosi ważne refleksje. Bo Amazonkę już znalazłem, inni odkryli pozostałe największe rzeki świata. Ale poszukiwanie siebie – wciąż czeka.

Źdat' oder go? Nie, nie czekajmy. W drogę! Szkoda każdej chwili, nikt przecież nie wie, ile los mu wyznaczył czasu. Planując jednak przy kominku przyszłe penetrowanie dalekich zakątków, zainwestujmy w to, co ważne, a co otrzymać możemy za darmo już od dziecka: uczmy się języków, choćby w stopniu komunikatywnym. To klucz do świata. Prowadziłem kilka komercyjnych wypraw, w których brali udział milionerzy i miliarderzy. Tę jednak mieli wadę, że nie znali żadnego języka prócz swojego. I czy to była Brazylia z jej portugalskim, czy Wenezuela, gdzie mówi się po hiszpańsku, czy nawet lotnisko w Londynie – oni musieli liczyć na opłaconego tłumacza, przewodnika i anioła stróża. Nie było mowy o samotnym spacerze po targu w Manaus czy pojechaniu taksówką do centrum Limy. To takie ubezwłasnowolnienie na własne życzenie. A uwierzcie mi – są miejsca, gdzie karta kredytowa, nawet złota, służyć może co najwyżej do wydłubania brudu spod paznokci. Bo ani kajmany, ani anakondy, ani nawet Indianie Machiguenga znad Urubamby nie mają na razie bankomatów.

Jacek Palkiewicz